

# Leonid Andrejew

## CHRZEŚCIJANIE

Za oknami padał mokry listopadowy śnieg, ale w gmachu sądu było ciepło, gwarnie i wesoło dla tych, co przyzwyczaili się codziennie służbowo odwiedzać ten duży gmach, spotykać znajome twarze, otwierać wciąż ten sam kałamarz i maczać w nim to samo pióro. Przed oczami, jak w teatrze, odgrywały się dramaty — właśnie tak się zwały „dramaty sądowe” — i przyjemnie było oglądać publiczność i słuchać ożywionego gwaru na korytarzach oraz grać samemu. Wesoło było też w bufecie; tam zapalono już elektryczność i dużo smacznych przekąsek stało na ladzie. Pito, rozmawiano, jedzono. Jeżeli zdarzały się twarze pochmurne, to i to było w porządku: tak wypada w życiu, zwłaszcza tam, gdzie dzień po dniu rozgrywają się „sądowe dramaty”. W tamtym oto pokoju kiedyś zastrzelił się oskarżony; tu stoi żołnierz z karabinem; gdzieś dzwonią kajdany. Wesoło, ciepło, przytulnie.

W drugim wydziale kryminalnym jest dużo publiczności — toczy się poważna rozprawa. Wszyscy są na swoich miejscach: przysięgli, obrońcy, sędziowie; na razie tylko reporter przygotował papier, wąskie karteluszki, i rozgląda się ciekawie. Przewodniczący, omiękły grubas o siwych wąsach, szybko, automatycznie odczytuje listę świadków:

— Jefimow! Imię? Imię ojca?

— Jefim Pietrowicz Jefimow.

— Zgadza się składać zeznania pod przysięgą?

— Zgadzam się.

— Proszę odejść na stronę. Karasiew!

— Andrej Jegorycz... Zgadzam się.

— Proszę odejść na... Blumental!

Spora grupka świadków, coś około dwudziestu, szybko przenosi się z lewej strony na prawą. Na pytania przewodniczącego jedni odpowiadają głośno i szybko, z gotowością, i sami domyślnie odchodzą na bok; niektórych pytania zaskakują, milczą speszeni i oglądają się, nie wiedząc, czy wymienione nazwisko dotyczy ich, czy też może znajduje się tu ktoś inny o takim samym nazwisku? Świadkowie dowodowi spodziewali się pytań wyczerpujących i odpowiadali tak samo wyczerpująco, bez pośpiechu, przemyślanie; na stronę odchodzili dopiero po rozkazie przewodniczącego i nie przyłączali się do reszty.

Podsądny, młody jegomość w wysokim kołnierzyku, oskarżony o defraudację i malwersację, skwapliwie podkręcał wąsiki i patrzył w dół coś kombinując; przy wymienianiu niektórych nazwisk odwracał się, pogardliwie oglądał wywołanego i znowu ze wzmożoną skwapliwością kręcił wąsy i myślał. Obrońca, również młody człowiek, ziewał w dłoń i sprężyście się przeciągał z przyjemnością spoglądając w okno, za którym sennie opadały duże, mokre płyty. Dobrze się dziś wyspał i dopiero przed chwilą zjadł na

śniadanie w bufecie gorący boczek z groszkiem.

Pozostawało zaledwie sześciu nie wywołanych, gdy przewodniczący z rozpędu natrafił na niespodziankę:

— Zgadza się przysięgać? Proszę odejść...

— Nie.

Niby człowiek, który w ciemnościach wpadł na drzewo i mocno uderzył się czołem, przewodniczący na moment zgubił wątek pytań i zatrzymał się. W grupce świadków usiłował znaleźć tę, co odpowiedziała tak zdecydowanie i ostro — głos był kobiecy — ale wszystkie kobiety wyglądały jednakowo i patrzyły nań z jednakowym szacunkiem i gotowością. Zajrzał do spisu.

— Pelagia Wasiliewna Karaulowa? Zgadza się złożyć przysięgę? — powtórzył pytanie i wyczekująco spoglądał na kobiety.

— Nie.

Teraz dopiero ją zobaczył. Kobieta w średnim wieku. Dość przystojna, czarnowłosa, stoi w tyle za innymi. Pomimo kapelusza i modnej sukni z bufiastymi rękawami oraz dużej bezsensownej wypustki na piersi nie wygląda ani na osobę zamożną ani na inteligentkę. W uszach ma cygańskie kolczyki w kształcie wielkich, dętych kólek; w rękach, skrzyżowanych na brzuchu, trzyma niewielką torebkę. Odpowiadając porusza tylko ustami; cała twarz, kolczyki w uszach i ręce z torebką pozostają nieruchome.

— Czy świadek jest prawosławną? — Prawosławną.

— Dlaczego nie chce składać przysięgi?

Świadek patrzy mu w oczy i milczy. Stojący przed nią świadkowie rozstąpili się i teraz cała jest widoczna wraz ze swoją torebką i cienkimi, żółtawymi rękami.

— Może świadek należy do jakiejś sekty, która nie uznaje przysięgi? Proszę się nie bać. Mówcie! Nic was za to nie spotka. Sąd weźmie pod uwagę wasze wyjaśnienia.

— Nie.

— Nie sekciarka?

— Nie.

— A więc, proszę świadka: być może, świadek obawia się, że w swych zeznaniach może napotkać na coś niemilego, niewygodnego dla świadka osobiście — rozumiecie? Więc na takie pytania, zgodnie z prawem, wolno świadkowi nie odpowiadać. No co, teraz zgoda?

— Nie.

Głos młody, młodszy od twarzy, brzmi zdecydowanie i jasno; zapewne brzmiałby dobrze w śpiewie.

Wzruszywszy ramionami, przewodniczący przywołuje wzrokiem członka sądu z lewej strony i zamienia z nim szeptem parę słów. Tamten odpowiada

również szeptem:

— Tu jest coś nienormalnego. Może ona jest w ciąży?

— A cóż to ma do rzeczy? Zresztą wcale nie widać... Świadek Karaulowa, sąd pragnie wiedzieć, na jakiej podstawie odmawiacie złożenia przysięgi? Nie możemy ni z tego, ni z owego uwolnić świadka od przysięgi. Proszę odpowiadać. Czy świadek dobrze słyszał?

Tak samo nie wykonując żadnych ruchów kobieta coś krótko odpowiada, lecz tak cicho, że niepodobna zrozumieć.

— Sąd nic nie słyszy, proszę głośnie! Świadek chrząka i bardzo głośno oświadcza:

— Jestem prostytutką...

Obrońca, cichutko wystukujący nogą do rytmu jakimś swoim myślom, nagle zatrzymuje się i uważnie spogląda na świadka.

„Należałoby zapalić światło...” — myśli i jakby zgadując jego życzenie woźny sądowy naciska z początku jeden guzik, potem drugi. Publiczność, przysięgli i świadkowie podnoszą głowy i patrzą na zapalające się żarówki. Tylko sędziowie, przyzwyczajeni do efektów nagłego oświetlenia, pozostają obojętni. Teraz jest całkiem przyjemnie: jasno i śnieg za oknami ściemniał. Przytulnie. Jeden z przysięgłych, starzec, ogląda Karaulowa i mówi do sąsiada:

— Z torebką...

Tamten milcząco kiwa głową.

— No więc cóż, że jesteście prostytutką? — mówi przewodniczący i słowo „prosty lutka” wymienia tak samo zwyczajnie, jak i inne, nie całkiem zwykłe słowa: „zabójca”, „grabieżca”, „ofiara”. — Jesteście przeciw chrześcijanką?

— Nie, nie jestem chrześcijanką. Gdybym była chrześcijanką, to bym takiego zawodu nie uprawiała. Sytuacja staje się dość absurdalna. Nachmurzony przewodniczący naradza się z członkiem sądu po lewej ręce i chce coś mu rzec; ale przypomina sobie o istnieniu członka sądu po prawej, który przez cały czas się uśmiechał, i pyta go o zgodę. Ten sam uśmiech i kiwnięcie głowy.

— Świadek Karaulowa! Sąd postanowił wyjaśnić świadkowi jego błąd. Na tej podstawie, że uprawiacie prostytucję, nie

uważacie się za chrześcijankę i odmawiacie złożenia przysięgi, do której zobowiązuje was prawo.

Lecz to jest błąd — czy

świadek rozumie? Uprawianie takiego czy innego zawodu jest sprawą waszego sumienia i my do tego nie możemy się wtrącać. Nie może to również wpływać na przynależność świadka do danego kultu religijnego. Czy jasne? Można być nawet zbójem czy grabieżcą i jednocześnie uważać się za chrześcijanina, żyda lub mahometanina. Wszyscy tu obecni, na przykład — wiceprokurator, panowie przysięgli — zajmujemy się różnymi sprawami: jedni są na służbie państwowej, inni handlują, lecz to nie przeszkadza nam uważać się za chrześcijan.

Członek sądu z lewej strony szepce:

— No, teraz to pan palnął... Zbój — i tuż zaraz wiceprokurator! A potem — uprawia handel... Kto uprawia handel? Jakby tu był sklepik, a nie sąd. Nie można tak, nie wypada.

— A więc — ciągnie wolno przewodniczący odwracając się od członka sądu — jak świadek Karaulowa widzi, zawód tu nie ma znaczenia. Wykonujecie pewne obrządki religijne, chodźcie do cerkwi... Czy chodźcie do cerkwi?

— Nie.

— Nie? Dlaczego?

— Jakże ja mogę taka pójść do cerkwi?

— Ale do spowiedzi i komunii świętej przystępujecie?

— Nie.

Świadek odpowiada nie głośno, ale wyraźnie. Ręce z torebką zamarty na brzuchu, a w uszach ledwo dostrzegalnie kołyszą się złote kolczyki. Czy to od światła elektrycznego, czy z podniecenia z lekka się zaróżowiła i sprawia wrażenie młodszej. Przy każdym nowym „nie” ludzie spoglądają na siebie z uśmiechem; ktoś z tylnych rzędów, z wyglądu rzemieślnik, chudy, z wyskubaną bródką i wydatną grdyką na wyciągniętej cienkiej szyi radośnie podaje do ogólnej wiadomości:

— A to ci im zabiła ćwieka!

— No, ale oczywiście modlicie się?

— Nie. Dawniej modliłam się, a teraz przestałam. Członek sądu natarczywie szepce:

— Niech pan spyta inne kobiety spośród świadków, one przecież także z „takich”. Niech pan spyta, czy się zgadzają.

Przewodniczący niechętnie bierze listę i pyta:

— Świadek Pustoszkina. Wasz zawód, o ile się nie mylę...

— Prostytutka — szybko, prawie wesoło odpowiada świadek, młodzianka dziewczuszka również w kapeluszu i modnej sukni.

Jej także podoba się w sądzie i ze dwa razy już zamieniła spojrzenie z obrońcą; tamten pomyślał:

„Ładniutka byłaby z niej pokojówka, dużo otrzymywałaby napiwków.”

— Zgadzacie się przysięgać?

— Zgadza się. No, widzicie, Karaulowa, wasza koleżanka zgadza się złożyć przysięgę. A wy, świadek Krawczenko, wy także... Zgadzacie się?

— Zgadza się — niskim kontraltem, nieomal basem, odpowiada gruba, o podwójnym podbródku Krawczenko.

— No, widzicie, i ta również. Wszystkie się zgadzają. Więc jak będzie?

Karaulowa milczy.

— Nie zgadzacie się?

— Nie.

Pustoszkina przyjaźnie się do niej uśmiecha, Karaulowa odpowiada lekkim uśmiechem i znowu poważnieje. Sąd naradza się i przewodniczący przybierając uprzejmą minę, pełną bogoboju, zwraca się do duchownego, który w oczekiwaniu na składanie przysięgi stoi przy pulpicie i słucha w milczeniu.

— Proszę ojca! Wobec uporu świadka czy nie zechciałby ojciec przekonać jej, że jest chrześcijanką? Proszę, niech świadek podejdzie bliżej.

Karaulowa nie zdejmując rąk z brzucha robi dwa kroki naprzód. Duchowny czuje się niezręcznie: rumieni się i szepce coś do przewodniczącego.

— Nie, proszę ojca, czy nie można by jednak tu, na miejscu? Bo obawiam się, żeby i tamte nie zaczęły się upierać.

Poprawiwszy krzyż na piersi, jeszcze bardziej zarumieniony, duchowny mówi bardzo cicho:

— Proszę pani, pani uczucia przynoszą pani zaszczyt, ale wątpię, czy są to uczucia chrześcijańskie.

— Toteż powiadani: jaka tam ze mnie chrześcijanka? Duchowny bezradnie spogląda na przewodniczącego;

tamten mówi:

— Niech świadek słucha duchownego: on wyjaśni.

— Wszyscyśmy, proszę pani, grzeszni wobec Boga, jeden myślą, inny słowem, a ów uczynkiem i do Niego, pełnego

miłosierdzia, należy sąd nad naszym sumieniem. Pokornie, z łagodnością, podobnie jak boski wybraniec Hiob, winniśmy przyjmować wszelkie próby, jakim poddaje nas Pan nasz, pomnąc, że bez Jego woli żaden włos z głowy nam nie spadnie. Niezależnie od tego, jak wielkie byłyby pani grzechy, samowolne osądzanie się, stawianie poza nawias cerkwi stanowi grzech jeszcze bardziej ciężki, aniżeli przeciwstawianie się woli boskiej. Być może grzech został zesłany pani na próbę, jak Bóg zsyła choroby i utratę dobytku; pani zaś w swej pysze...

— No gdzież ja tam, ojczulku, pyszna! Przy takim zawodzie...

— ...Przesądza sąd Chrystusowy i zuchwale wyrzekacie się obcowania ze świętą cerkwią prawosławną. Czy znacie wyznanie wiary?

— Nie.

— Ale wierzycie w Pana naszego Jezusa Chrystusa?

— A jakże, wierzę.

— Każdy naprawdę wierzący w Chrystusa tym samym godzien jest miana chrześcijanina.

— Czy świadek rozumie? Wystarczy tylko wierzyć w Chrystusa... — potakuje przewodniczący.

— Nie! — zdecydowanie odpowiada Karaulowa. — Cóż z tego, że wierzę, skoro jestem taka. Gdybym była chrześcijanką, to bym taką nie była. I do Boga się nawet nie modłę.

— To prawda... — potwierdza świadek Pustoszkina.

— Ona nigdy się nie modli. Do naszego domu — nasz dom jest dobry, piętnastorublowy — przywieźli ikonę. To ona wtedy poszła na drugą połowę. Tyleśmy ją namawiali, a ona — nie. Taka już jest, za przeproszeniem. Jej samej, proszę sądu, niełatwo z takim charakterem.

— Pan nasz Jezus Chrystus — ciągnie duchowny spojrzawszy na przewodniczącego — wybaczył jawnogrzesznicy, gdy się ukorzyła.

— Bo ona się ukorzyła, a czy ja się korzyłam?

— Nadejdzie godzina objawienia i pani też się ukorzy.

— Nie. Chyba, kiedy już będę stara i bliska śmierci, wtedy pocznę się kajać. Ale cóż to za skrucha? Grzeszyłam, grzeszyłam, a potem nagle w ciągu jednej minuty — skrucha? Nie-e-e, to już sprawa przesądzona.

— Jaka tam wtedy skrucha — basem potwierdza uważnie przysłuchująca się Krawczenko. — Pieśni śpiewała, piwo piła, mężczyzn przyjmowała, a tu nagle — skrucha. Komu taka skrucha potrzebna? Nie-e-e, sprawa skończona.

Przysunęła się i tłustymi, krótkimi palcami zdjęła z ramienia Karaulowej nitkę. Tamta nie poruszyła się. „Zapewne dobrze śpiewają razem w duecie — pomyślał obrońca. — Tamta ma pierś jak miech kowalski, z uczuciem śpiewają. Gdzie ten dom, jakoś nie pamiętam?”

Przewodniczący rozłożył ręce i znowu z uprzejmą i pobożną miną zwolnił duchownego:

— Przepraszam ojca, taki upór! Przepraszam, że fatygowałem.

Pop skłonił się i wrócił na swoje miejsce przy pulpicie. Ręce poprawiające krzyż na piersi z lekka mu drżały. Wśród publiczności rozlegały się szepty; rzemieślnik, któremu przez ten czas bródka jakby jeszcze bardziej zrzedła, wyciągał szyję we wszystkich kierunkach, gdzie rozlegały się szepty, i uśmiechał się z zadowoleniem.

— A to ci im ćwieka zabiła! — szeptał napotkawszy czyjeś spojrzenie.

Oskarżony, niezadowolony, ze zwłoki, z obrzydzeniem spoglądał na Karaulową, nerwowo kręcił wąsiki i coś kombinował.

Sąd naradzał się.

— Co tu można poradzić? Przecież to idiotka! — gniewnie dowodził przewodniczący. — Ludzie ciągną ją do Królestwa Niebieskiego, a ta...

— Moim zdaniem — przerwał członek sądu — należałoby zbadać jej poczytalność. W wiekach średnich sąd skazywał na spalenie kobiety, które w gruncie rzeczy były histeryczkami, a nie czarownicami.

— No, pan znów swoje! W takim razie należałoby przedtem zbadać poczytalność prokuratora: proszę spojrzeć, co on wyrabia!

Wiceprokurator, młody człowiek w wysokim kołnierzyku, z wąsikami, na ogół dziwnie podobny do oskarżonego, już dawno usiłował zwrócić na siebie uwagę sądu. Kręcił się na krześle, unosił i całym ciałem pochylał się naprzód w stronę przewodniczącego, gdy ten przypadkiem na niego spoglądał. Niewątpliwie miał coś na myśli i niecierpliwie chciał to oznajmić.

— Czego pan sobie życzy, panie prokuratorze? Tylko proszę jak najkrócej.

— Proszę mi pozwolić...

I nie czekając odpowiedzi wiceprokurator wyprostował się i porywczo spytał Karaulową:

— Oskarżona, przepraszam, świadek, jak macie na imię?

— Grusza.

— To znaczy, będzie... Agrafiena, Agrypina. Imię chrześcijańskie. A więc ochrzczono was i nadano przy chrzcie świętym imię Agrafiena. Z tego wynika...

— Nie. Przy chrzcie nadano mi imię Pelagia.

— Ależ w tej chwili przy świadkach powiedzieliście, że nazywają was Gruszą?

— No tak, Gruszą. Ale ochrzczono jako Pelagia.

— Ale przecież... Przewodniczący przerwał.

— Panie prokuratorze, na liście figuruje jako Pelagia, proszę spojrzeć.  
— W takim razie już nic nie mam... Gwałtownie rozsunął fałdy surduta i usiadł rzucając surowe spojrzenie na oskarżonego i obrońcę.  
Karaulowa czekała. Sytuacja stawała się absurdalna. Wśród publiczności narastał gwar, a woźny sądowy już parę razy surowo oglądał się na salę i podnosił palec. Ni to upadał prestiż sądu, ni to po prostu robiło się wesoło.  
— Ciszej tam! — zawołał przewodniczący. — Panie woźny, jeżeli kto będzie rozmawiał, to proszę usunąć go z sali.  
Wstał jeden z przysięgłych, wysoki, kościsty staruszek w długim surducie, z wyglądu staroobrzędowiec, i zwrócił się do przewodniczącego.  
— Czy wolno mi zadać świadkowi pytanie? Karaulowa, jak dawno uprawiacie nierząd?  
— Osiem lat.  
— A przedtem kim byliście?  
— Służyłam za pokojówkę.  
— A kto uwiódł? Synek czy gospodarz?

— Gospodarz,  
— I dużo dał?  
— Dziesięć rubli gotówką, srebrną broszkę i kawałek kaszmiru na suknię. Mieli swój sklep w halach targowych.  
— Czy warto było za to godzić się na hańbę?  
— Młoda byłam, głupia. Sama wiem, że za mało.  
— Dzieci były?  
— Jedno miałam.  
— Gdzie się podziało?  
— Umarło w przytułku.  
— A chorowałaś? — Chorowałam.  
Stary sucho odwrócił się i usiadł. Już siedząc powiedział:  
— To i racja, jaka tam z ciebie chrześcijanka! Za dziesięć rubli diabłu duszę sprzedała i ciało zhańbiła.  
— Zdarzają się staruszkowie, co i więcej dają — wystąpiła w obronie koleżanki Pustoszkina. — Niedawno był u nas taki jeden staruszek, stateczny, tak coś w rodzaju pana...  
Wśród publiczności rozległy się śmiechy.  
— Niech świadek milczy, skoro go nie pytają — surowo powstrzymał ją przewodniczący. — Pan skończył? A pan czego sobie życzy, panie przysięgły? Także zadać pytanie?  
— Ano, niech już pan pozwoli i mnie słówko wtrącić, skoro taka sprawa... — cienkim, prawie dzieciennym głosikiem powiedział niezwykle duży i gruby kupiec, cały składający się z kul i półkul: okrągły brzuch, kobieca okrągła pierś, pyzate, jak u kupidyna, policzki i ściągnięte w ciup różowe usta.  
— Postępujcie, Karaulowa, czy tam jak cię zwa. Licz się sobie z Panem Bogiem, jak chcesz, ale na ziemi wykonuj swe obowiązki. Dziś na przykład odmawiasz złożenia przysięgi: „nie jestem chrześcijanka”; a jutro z tego samego powodu pójdziesz kraść albo jakiego gościa uśpisz ziołami — stać was na to. Zgrzeszyłaś, to żałuj za grzechy, od tego jest cerkiew. Ale wiary się nie wyrzekaj, bo jeżeli takie jak wy wyrzekną się jeszcze wiary, to trudno będzie z wami wytrzymać.  
— Cóż, może i kraść będę... Powiedziałam, że nie jestem chrześcijanką.  
Kupiec pokiwał głową, usiadł i pochylając się całym tułowiem do sąsiada głośno powiedział:  
— Jak się trafi taka baba, to możesz sobie o nią ręce połamać, a z miejsca jej nie ruszysz.  
— Te grubasy, panie sędzio, nie zawsze bywają uczciwi... — znów broni Pustoszkina. — Niedawno przyszedł do nas jeden gruby, w rodzaju tego pana, upił się, zrobił awanturę, zamieszanie, a potem przez tylne drzwiczki chciał uciec, ale na szczęście ugrzązł. „Ja, powiada, woskiem i świecami handluję, i nie chcę, żeby święte pieniądze szły na taki haniebny interes”, a sam pijany w sztok. A wedle mnie...  
— Proszę świadka milczeć!  
— ... po prostu łobuz i nic więcej, takie są te grubasy.  
— Proszę świadka milczeć, bo każę wyprowadzić! Co pan sobie życzy, panie prokuratorze?  
— Proszę mi zezwolić... Świadek Karaulowa, zrozumiałem, że przezwali was Gruszą, macie jednak na imię Pelagia, czyli że was ochrzczono. Jeżeli zaś was ochrzczono według ustalonego obrządku, to jesteście chrześcijanką, jak to niewątpliwie figuruje w waszym świadectwie urodzenia, Tajemnica chrztu, jak wiadomo, stanowi istotę nauki chrześcijańskiej.  
Prokurator opanowawszy temat stawał się coraz surowszy.

— Zaraz zacznę mówić o paszporcie — szepnął przewodniczący i przerwał prokuratorowi. — Świadek rozumie? Skoro został ochrzczony, więc jest chrześcijanką. Zgadza się z tym?  
— Nie.

— No więc widzi pan, panie prokuratorze, ona się z tym nie zgadza.

Wszystkich brała złość. Głupstwo, babski bezsensowny upór hamował całą sprawę i zamiast płynnego, wyraźnego, harmonijnego rytmu aparatu sądowego powstawał chaos. Do normalnej tajonej pogardy męskiej dla kobiety przyłączało się uczucie urazy: pomimo całej udanej skromności wygląda, jakby była lepsza od wszystkich, lepsza od sędziów, lepsza od przysięgłych i publiczności. Świeci się elektrycznością i wszystko jest takie dobre, a ta staje okoniem. Nikt się już nie śmieje. Rzemieślnik z wyskubaną bródką nagle zirytował się i mówi: „Jakbym cię stuknął, to byś od razu zrozumiała!” Sąsiad nie patrząc odpowiada: „A ty byś, bracie, ino pięścią; dowiedz jej!” „Daj pan spokój, nic pan nie rozumie, a pięść także od Pana Boga pochodzi.” „A gdzie ci brodę wyskubano?” „Gdzie wyskubali, tam wyskubali.” Woźny sądowy syczy, rozmowy milkną i wszyscy z ciekawością patrzą na naradzających się sędziów.

— Proszę pana, Lwie Arkadiewiczu, przecież to Bóg wie co! — oburza się członek sądu. — To nie sąd, ale jakiś dom wariatów. Czy my ją sądymy, czy ona nas sądzi? Pięknie dziękuję za taką przyjemność!

— Ale czego pan ode mnie chce? Czy ja, pańskim zdaniem, naumyślnie? — zarumienił się przewodniczący. — Niech pan spojrzy na tę, na tę grubą, na Krawezenko, przecież ona pożera ją oczami! One tu nam nową herezję ogłoszą i dopiero będę za to świecił oczami!

Pięknie dziękuję! Nie mogę przecież pozbawić jej głosu, skorośmy raz pozwolili. Pan sobie czegoś życzy, panie sędzio

przysięgły? Tylko proszę się streszczać. I tak straciliśmy już pół godziny.

Wstał młody człowiek o wyglądzie niezwykle inteligentnym, nawet uduchowionym. Włosy miał długie, puszyste jak poeta lub

młody pop. Kiść ręki cienka, sucha. Mówił z pewnym wysiłkiem, jakby słowa z trudem przewyciężały opór powietrza. Podczas pertraktacji z Karaułową marszczył się boleśnie i teraz także w jego cichym głosie słychać było cierpienie.

— To jest bardzo smutne, co mówi świadek. Głęboko wam współczuję. Ale zrozumcie, że nie można tak pomniejszać istoty chrześcijaństwa, sprowadzając je do pojęcia grzechu i cnoty, chodzenia do cerkwi i obrządków. Istota chrześcijaństwa polega na mistycznym zbliżeniu do Boga...

— Przepraszam — przerywa przewodniczący — Karaułowa, czy rozumiecie, co znaczy mistyczny?  
— Nie.

— Panie sędzio przysięgły, ona nie rozumie słowa mistyczny. Proszę wyrażać się prościej: pan widzi, na jak niskim, niestety, poziomie intelektualnym jest świadek.

— Oblicze Chrystusa — oto podwalina i kropka. Niebo rozwarło się po obrzezaniu i nie ma ani grzechu, ani cnót, ani bogactwa. — Przerywany, zdyszany szept: — Oto embrion wszystkich sfinksów...

— Panie sędzio przysięgły! Ja także nic nie rozumiem. Czy nie można by prościej?

— Prościej nie potrafię! — ze smutkiem mówi przysięgły. — Sprawy mistyczne wymagają specjalnego języka... Jednym słowem, potrzebne jest zbliżenie do Boga!

— Rozumiecie, Karaułowa? Potrzebne jest tylko zbliżenie do Boga — i nic więcej.

— Nie. Jakaż tu bliskość w takim interesie? Nawet lampki oliwnej nie mam w pokoju. Inne zapalają, ale ja nie mam.

— Niedawno — basem powiedziała Krawczenko — jeden gość nalał mi piwa do lampki. Ja mu powiadam: „Psubrat z ciebie, chociażęś łysy.” A ten mi na to powiada: „Milcz, dziubdziusiu, światło Chrystusowe i w mroku lśni.” Tak właśnie powiedział.

— Świadek Krawczenko, proszę bez anegdot! A wy, świadku, czego chcecie?

Świadek, przystaw, w paradnym mundurze, dzwoni ostrogami.

— Wasza ekscelencjo, proszę mi zezwolić odejść na osobność ze świadkiem.

— A to po co?

— Odnosnie przysięgi, wasza ekscelencjo. Ja jestem z ich cyrkułu, gdzie ten dom... Ja migiem, wasza ekscelencjo... Ona zaraz będzie przysięgać.

— Nie— powiedziała Karaułowa trochę blednąc i nie patrząc na przystawę.

Tamten odwrócił głowę, pierś z orderami pozostawiając sądowi:

— Nie złożycie?

— Nie złożę.

— Zobaczmy...

— Zobacz pan...

— Dość już, dość! — gniewnie krzyknął przewodniczący. — A pan, panie przystawie, proszę iść na miejsce, na razie nie potrzebujemy pańskich usług.

Brzęknąwszy ostrogami przystaw z godnością odchodzi. Wśród publiczności ponury szept i rozmowy. Rzemieślnik, którego sympatie przechylały się na stronę Karaulowej, powiada: „No, teraz trzymaj się, babo! Ząbki ci tak wyczyszczą, że zabłyszczą jak samowar.” „No, to już pan za bardzo!” „Za bardzo? Panie, niech pan milczy: pan się na tym nie zna, a ja dobrze się znam.” „A gdzie ci brodę wyskubali?” „Gdziekolwiek wyskubali, to wyskubali.” „Ale niech mi pan powie, czy jest tu bufet trzeciej klasy? Należałoby gołnąć za spokój duszy sługi bożej, Pelagii.”

— Ciszej tam! — krzyknął przewodniczący. — Panie woźny sądowy, proszę zastosować środki. Woźny idzie na palcach do publiczności, ale w miarę jego zbliżania się wszyscy milkną, więc tak samo na palcach wraca z powrotem. Reporter gorączkowo zapisuje wąskie kartki, ale na twarzy jego maluje się rozpacz: przewiduje, że cenzura nie przepuści takiego tekstu.

— Jak sobie chcecie, ale trzeba kończyć — mówi członek sądu. — Robi się skandal.

— Chyba że tak... No, czego pan jeszcze chce, panie obrońco? Wszystko już zostało wyjaśnione, proszę siadać.

Zgrabnie wygiąwszy szyję i talię, opiętą czarnym frakiem, obrońca mówi:

— Skoro jednak sąd udzielił głosu panu wiceprokuratorowi...

— To i pan tego potrzebuje? — z beznadziejną ironią pokiwał głową przewodniczący. — No dobrze, proszę mówić, skoro pan tak bardzo tego pragnie. Tylko proszę się streszczać.

Obrońca odwraca się do ławy przysięgłych.

— Dowcipne ćwiczenia pana wiceprokuratora i pana przystawa w dziedzinie teologii... — zaczyna wolno.

— Panie obrońco! — surowo przerywa przewodniczący — proszę bez osobistych wycieczek.

Obrońca kłania się w stronę sądu.

— Słucham.

Potem znowu odwraca się do przysięgłych, obrzuca ich jasnym i otwartym, wzrokiem i nagle głęboko się zamyśla spuszczać

głowę. Obydwie ręce ma podniesione na wysokość piersi, oczy mocno zamknięte, brwi zmarszczone. Wygląda na kogoś

śmiertelnie zakochanego, względnie mającego zamiar kichnąć. I przysięgli, i publiczność patrzą na niego z dużym zainteresowaniem, czekając, co z tego wyniknie, i tylko sędziowie, przyzwyczajeni do jego chwytów obrończych, pozostają

Obojętni. Ze stanu zamyślenia obrońca otrząsa się bardzo wolno, stopniowo: z początku opadają mu bezsilnie ręce, potem z lekka otwierają się oczy, potem wolno unosi się głowa i dopiero wtedy, jakby wbrew woli, wybiegają z jego ust natchnione słowa:

— Panowie sędziowie i panowie przysięgli!

I dalej mówi całkiem niezwykle: to szepcze, ale tak że wszyscy słyszą, to głośno krzyczy, to znowu zamyśla się i w osłupieniu, jak w katalepsji, patrzy na kogoś z przysięgłych, póki ten nie zacznie mrugać i umykać z oczami.

— Panowie sędziowie i panowie przysięgli! Przed chwilą słyszeliście wiele mówiący dialog między świadkiem Karaulową a panem przystawem. Jego sens nie jest dla was zagadką. Wziąwszy pod uwagę te rozległe środki oddziaływania, jakimi dysponuje nasza administracja, a z drugiej strony jej niezachwiane dążenie do zawrócenia zbłąkanych na łono prawosławia...

— Panie obrońco, co to ma znaczyć! — oburza się przewodniczący. — Nie mogę pozwolić, aby pan tu osądzał władze ustanowione przez prawo. Pozbawię pana głosu.

Wiceprokurator mówi skromnie, ale porywczo:

— Prosiłbym o umieszczenie w protokole słów pana obrońcy.

Nie zwracając uwagi na prokuratora obrońca znowu kłania się sądowi.

— Słucham. Chciałem tylko powiedzieć, panowie przysięgli, że pani Karaulowa, o ile ją rozumiem, nie wyprze się swoich poglądów nawet w tym niemożliwym, zresztą, wypadku, gdyby jej grożono stosem lub

torturami inkwizycji. W osobie pani Karaulowej widzimy, panowie sędziowie przysięgli, odwrócony, że tak powiem, typ

męczennicy chrześcijańskiej, która w imię Chrystusa jakby wyrzekała się Go i, mówiąc „nie”, w rzeczywistości mówi „tak”.

Jakiś duży i piękny obraz niewyraźnie i pociągająco zamajaczył w głowie adwokata; poczuł chłód w palcach i podnieconym

głosem, w którym sztuki oratorskiej była zaledwie połowa, ciągnął:

— Ona jest chrześcijanką i udowodnię to wam, udowodnię, panowie przysięgli! Zeznania świadków, pań Pustoszkinej i Krawczenko, oraz oświadczenia samej Karaulowej dały nam pełny obraz tego, jaką drogą doszła ona do tej męczącej sytuacji. Niedoświadczona, naiwna dziewczyna, być może, tylko co oderwana od wsi, od jej niewinnych radości, trafia w ręce brudnego lubieżnika i z przerażeniem stwierdza, że jest w ciąży. Urodziwszy gdzieś w szopie...

— Czy nie można by krócej, panie obrońco? Wiadomo nam od samego początku, że pani Karaulowa uprawia prostytucję. Panowie przysięgli nie są dziećmi i sami doskonale wiedzą, jak się to robi. Niech pan wróci do chrystianizmu. A poza tym to wcale nie chłopka, lecz mieszczańka z miasta Woroneża.

— Słucham, panie przewodniczący, chociaż myślę, że i mieszczenie mają swoje niewinne radości. A więc, w duszy swej pani Karaulowa nosi ideał człowieka, jakim winien być według nauki Chrystusa, rzeczywistość zaś z jej cnotliwymi starcami wlewającymi piwo do lampek oliwnych, z pijackim czadem, obelgami, być może biciem, obalają i brudzą ten czysty obraz. I w tej tragicznej kolizji rozdiera się na części dusza pani Karaulowej. Panowie przysięgli! Widzicie ją tu spokojną, nieomal uśmiechniętą, ale czy wiecie, ile gorzkich łez wylała te oczy w ciszy nocnej, ile ostrych igieł palącej skruchy i smutku wpiło się w to zadrgane serce! Czy ona nie pragnie jak inne porządne kobiety pójść do cerkwi, do spowiedzi, do komunii — w białej,

ślicznej sukni komunikantki, a nie w tym hańbiącym stroju grzechu i przestępstwa? Być może, w nocnych marzeniach już nieraz czołgała się na kolanach do tych kamiennych stopni, całowała je gorąco, czując się niegodną wejścia do świątyni. I to ma być nie chrześcijanka? Któż wobec tego godzien jest miana chrześcijanina? Czyż w tych łzach nie jest zawarty ten wysoki akt skruchy, który przekształcił jawnogrzesznicę w Magdalenę, w świętą tak bardzo czczoną.

— Nie! — przerwała Karaulowa. — To nieprawda. Wcale nie płakałam i nie kajałam się. Cóż to za kajanie, kiedy robi się znów to samo? Proszę spojrzeć.

Otworzyła torebkę, wyjęła chustkę do nosa a potem portmonetkę. Położywszy na dłoni dwa srebrne ruble i drobne, wyciągnęła je ku obrońcy a potem do sądu. Jedna moneta zsunęła się z ręki, zawirowała po białej wyfroterowanej podłodze i ułożyła się koło pulpitu obrońcy. Ale nikt się nie schylił, by ją podnieść.

— Za co otrzymałam te pieniądze? Za to samo. A tę suknię? A kapelusz, a kolczyki? — wszystko za to samo. Gdybym się nawet rozebrała do naga, to nic mojego nie znajdziecie. Nawet ciało nie należy do mnie — na trzy lata naprzód zaprzędane, a może i na całe życie, bo nasze życie jest krótkie. A co mam w brzuchu? Portwein, piwo, czekoladę. Gość wczoraj stawiał — a więc wynika, że i brzuch nie mój. Nie mam ani wstydu, ani sumienia: każecie mi się rozebrać do naga, to się rozbiore, każecie plunąć na krzyż, to plunę.

Krawczenko zaczęła płakać. Łzy nie toczyły się, lecz biegły szybkimi, narastającymi kropelkami i opadały jak na półmisek na nienaturalnie wypiętą pierś. Ocierała je, lecz nie koło oczu, a dokoła ust i na podbródku, gdzie ją łaskotały.

— A onegdaj na przykład dano mi ślub z jednym gościem, dla żartu oczywiście: zamiast wieńców trzymano nam nad głową nocniki, zamiast świec — butelki po piwie, dnem do góry, a za popa był inny gość. Włożył na ramiona moją spódnicę i tak w niej chodził. A ta — Karaulowa wskazała na płaczącą Krawczenko — była mi za matkę. Płakała, szlochała, jakby to było na serio. Bo ona lubi sobie popłakać. A ja się śmiałam, bo prawdę mówiąc, bardzo to było śmieszne. I do cerkwi odnoszę się obojętnie, nawet staram się obok niej nie przechodzić, bo nie lubię. Mówiono tu jeszcze, że się nie modlę. Ale ja nawet nie znam odpowiednich słów, żeby się modlić. Różne słowa znam, nawet takie, jakich chyba i panowie nie znacie, choć jesteście mężczyznami; ale tych do modlenia się nie znam. I o co zresztą miałabym się modlić? Tamtego świata nie boję się — gorzej mi nie będzie; a na tym świecie wiele modlitwą nie wskóram. Modliłam się, żeby nie mieć dzieciaka, a jednak urodziłam. Potem modliłam się, żeby dzieciak przy mnie został — a musiałam oddać do przytułku. Modliłam się, żeby chociaż tam przeżył, a on wziął i umarł. O wiele rzeczy się modliłam, kiedy byłam głupsza, ale dzięki dobrym ludziom oduczyłam się. Student jeden oduczył. lata naprzód zaprzędane, a może i na całe życie, bo nasze życie jest krótkie. A co mam w brzuchu? Portwein, piwo, czekoladę. Gość wczoraj stawiał — a więc wynika, że i brzuch nie mój. Nie mam ani wstydu, ani sumienia: każecie mi się rozebrać do naga, to się rozbiore, każecie plunąć na krzyż, to plunę.

Krawczenko zaczęła płakać. Łzy nie toczyły się, lecz biegły szybkimi, narastającymi kropelkami i opadały jak na półmisek na nienaturalnie wypiętą pierś. Ocierała je, lecz nie koło oczu, a dokoła ust i na podbródku, gdzie ją łaskotały.

— A onegdaj na przykład dano mi ślub z jednym gościem, dla żartu oczywiście: zamiast wieńców trzymano nam nad głową nocniki, zamiast świec — butelki po piwie, dnem do góry, a za popa był inny gość. Włożył na ramiona moją spódnicę i tak w niej chodził. A ta — Karaulowa wskazała na płaczącą Krawczenko — była mi za matkę. Płakała, szlochała, jakby to było na serio. Bo ona lubi sobie popłakać. A ja się śmiałam, bo prawdę mówiąc, bardzo to było śmieszne. I do cerkwi odnoszę się



obojętnie, nawet staram się obok niej nie przechodzić, bo nie lubię. Mówiono tu jeszcze, że się nie modłę. Ale ja nawet nie znam odpowiednich słów, żeby się modlić. Różne słowa znam, nawet takie, jakich chyba i panowie nie znacie, choć jesteście mężczyznami; ale tych do modlenia się nie znam. I o co zresztą miałabym się modlić? Tamtego świata nie boję się — gorzej mi nie będzie; a na tym świecie wiele modlitwą nie wskóram. Modliłam się, żeby nie mieć dzieciaka, a jednak urodziłam. Potem modliłam się, żeby dzieciak przy mnie został — a musiałam oddać do przytułku. Modliłam się, żeby chociaż tam przeżył, a on wziął i umarł. O wiele rzeczy się modliłam, kiedy byłam głupsza, ale dzięki dobrym ludziom oduczyłam się. Student jeden oduczył.

Tak samo jak wy zaczął prawić o moim dzieciństwie, o tym, i owym, i do tego mnie doprowadził, że się rozplakałam: „Boże, zabierz mnie stąd!” A wtedy student powiada: „No, teraz dopiero stałaś się człowiekiem i mogę z tobą miłosne sprawy uprawiać.” Oduczył. Oczywiście, nie gniewam się na niego:

każdemu przyjemnie) jest z uczciwą kobietą całować się anizeli z taką jak ja albo ona. Tylko że od modlitwy i łez nic mi nie przybyło. Jakaż tam ze mnie chrześcijanka, panowie sędziowie? Szkoda gadać! Jestem sobie Grusza-Cyganka i za taką mnie miejcie.

Karaułowa westchnęła z lekka, pokiwała głową, łyskając złotymi kołami kolczyków, i zakończyła zwykłym tonem:

— Zgubiłam tu dwudziestaka, czy mogę podnieść? Wszyscy milczeli i patrzyli, póki pochylona Karaułowa podnosiła monetę ze śliskiej podłogi.

— No, a wy — z goryczą zwrócił się przewodniczący do Pustoszkinej i Krawczenko — zgadzacie się składać przysięgę?

— My zgadzamy się — odrzekła Krawczenko z płaczem. — A ona — nie.

— Panie przewodniczący! — prokurator podniósł się surowy i majestatyczny. — Wobec tego, że liczne wypadki podane tu przez świadka Karaułowa całkowicie podpadają pod pojęcie bluźnierstwa, ja, jako przedstawiciel nadzoru prokuratorskiego, pragnąłbym wiedzieć, czy świadek nie pamięta nazwisk.

— A jakie tam bluźnierstwo! — odrzekła Karaułowa. — Po prostu uchlali się. Zresztą, nie pamiętam.

Czyż można wszystkich spamiętać?

Sędziowie długo i bezpłodnie naradzają się, przywołują nawet prokuratora i przekonywająco jeden przez drugiego coś mu szepcą. Wreszcie postanawiają:

„Zbadać świadka Karaułową z powodu jej przekonań niechrześcijańskich bez przysięgi.”

Pozostali świadkowie ciasną grupą podeszli do pulpitu, gdzie czekał na nich pop w szatach liturgicznych i z krzyżem. Woźny

głośno zawołał:

— Proszę wstać!

Wszyscy wstają i zwracają się w stronę pulpitu. Teraz Karaułową widzi tylko plecy i karki: łyse, owłosione, okrągłe, płaskie, ostrokanciaste.

Duchowny mówi:

— Proszę podnieść ręce! Wszyscy podnoszą.

— Proszę powtarzać za mną — mówi zwykłym głosem, a innym ciągnie: — Obiecuję i przysięgam...

Tłum buczy zgodnie, wyróżnia się niski, jeszcze nabrzmiały łzami kontralt Krawczenko:

— Obiecuję i przysięgam...

— Wobec Boga wszechmogącego... i świętych Jego... na Ewangelię...

Wszystko się ułożyło i toczy się jak należy: harmonijnie, lekko, przyjemnie. Przez cały czas składania przysięgi i całowania

krzyża Karaułową stoi nieruchomo i patrzy w jeden punkt: w plecy przewodniczącego.

Świadków usunięto prócz Karaułowej.

— Świadek Karaułową, sąd zwolnił was od przysięgi, ale pamiętajcie, że powinniście zeznawać tylko prawdę, według sumienia. Obiecujecie?

— Nie... Jakie tam u mnie sumienie? Przecież mówiłam, że nie mam żadnego sumienia.

— No, co ja mam z wami robić? — rozkłada ręce przewodniczący. — Ale prawdę, rozumiecie, prawdę będziecie mówić?

— Powiem, co wiem.

Przez pół godziny we wzorowym porządku i ciszy czy się rozprawa. W prawidłowej kolejności padają pytania i odpowiedzi. Prokurator coś zapisuje, reporter z rzeczową i

beznamiętną miną rysuje na papierze jakieś skomplikowane ornamenty. Oskarżony daje długie i bardzo wyczerpujące

wyjaśnienia, ręce założył do tyłu, z lekka kołysze się i często spogląda w sufit.

— ... Co się tyczy kwitu z lombardu miejskiego na zastawiony rower, to jego pochodzenie jest następujące: 13 marca ubiegłego roku wstąpiłem do sklepu z rowerami Marchlewskiego...

— ... Co się zaś tyczy moich jakoby hulank w wymienionym domu publicznym i tego, jakobym tam zmieniał sturublowy banknot, to byłem tam zaledwie cztery razy: 21 grudnia, 7 stycznia, 25 stycznia tegoż roku i 1 lutego. I trzy razy płacił za mnie mój kolega Protasow. Odnośnie zaś czwartego wypadku, kiedy płaciłem osobiście, to proszę o zezwolenie przedłożenia sądowi zażądanego wówczas przeze mnie rachunku, z którego wynika, że ogólna suma wydatków, włączając w to... Pali się elektryczność. Za oknami mrok. Weszło, ciepło, przytulnie.

1905